ŚWIATŁO

Rok IX. Bytom G.-Szl., 1-go Listopada 1895. **Nr. 21.**

„ŚWIATŁO“ wychodzi dwa razy na miesiąc, co 1-go i 15-go każdego miesiąca. — Przedpłata kwartalna wynosi **1 markę** = 75 cent. Zeszyt pojedyńczy kosztuje 18 fen. = 13 centów. — Abonować można na każdej poczcie, (Zeitungs-Preisliste t 101) w każdej księgarni, u agentów i z Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu na Górnym Szlązku (Beuthen O.-S.) — **Ogłoszenia** przyjmują się za opłatą 20 fen. od **3**-łamowego wiersza drobnym drukiem.

Gabryel Hołubek.

SŁAWNY GÓRNIK I BOHATER POLSKI.

POWIEŚĆ HISTORYCZNA Z XVI WIEKU PRZEZ STA.

(Ciąg dalszy.)

Po szybko spożytem śniadaniu, oficerowie sprawili szyki do pochodu, zwinięto obóz i ruszono. Przewodnicy sprowadzili zaraz chorągwie z gościńca w las, mówiąc, że niezbyt wygodnemi, bo wązkiemi, ale dobrze znanemi, leśnemi drożynami o połowę sobie i wojsku drogę skrócą. Po godzinie pochodu, las stał się nadzwyczaj dziki, a droga niezmiernie trudna do przebycia, gdyż wąska, pełna wyboi i wystających korzeni, zasypana ostrymi kamieniami. Żołnierze rozciągnęli się po drożynie długim sznurem, na czele którego jechali przewodnicy; oficerowie rozrzucili się wzdłuż całej linii, komendant zaś w towarzystwie jednego młodziutkiego porucznika, swego ulubieńca, jechał na koniu a tuż za nimi szły wozy taborowe i armaty.

Pochód, trwający już kilka godzin, stawał się coraz przykrzejszy; ludzie i konie pomęczyli się straszliwie, ustały rozmowy i piosnki, które żołnierze zrazu nucili, posępne milczenie panowało w szeregach; tylko z drzew przydrożnych zrywały się stada kruków i kawek, ze złowrogiem krakaniem i szumem skrzydeł, lecąc nad wojskiem, zaledwo się posuwającem.

— Co te bestye tak kraczą nad nami, jakby ścierw czuły, gdzie blisko! — zawołał z rozdraźnieniem młody porucznik do komendanta. — A straszno tu przytem w tej puszczy, aż mrowie chodzi po skórze!

— I djabelnie męczy ta droga! — odparł zamyślony komendant. — Jeszczem też w życiu nie prowadził wojska po takich wertepach!

— Już też miłościwy pan nasz przysłał nam przewodników... niech ich licho porwie! — ozwał się znowu ulubieniec komendanta. — Konie ledwo nogi wloką.,. ja sam jestem jak zbity... Czasby wytchnąć panie komendancie.

— Czas! Czas! Mnie już wszystkie kości bolą!... Toć przywołaj jeno waćpan, proszę, którego z przewodników.

Oficer popędził konia i lecąc wzdłuż szeregu, wołał:

— Przewodnik! Przewodnik! Bywajno tu asan! A prędko! Pan komendant wzywa!

Żołnierze poczęli także wołać i niebawem, jeden z mniemanych gońców arcyksiążęcych, stanął wyprostowany jak drąg, przed komendantem, który spytał:

— Jakże tam! a siła jeszcze tego dzikiego lasu?

— Już zaraz będzie koniec, proszę waszej miłości! Potem jeszcze trudna przeprawa przez skalisty wąwóz, ale za nim leży duża równa polana, w sam raz przydatna do rozbicia obozu, rozpalenia ognisk i wygodnego spoczynku.

— Słusznie on nam się należy po tej drodze, która mogłaby śmiało do piekła prowadzić — mruknął do swego ulubieńca komendant, a głośno zawołał:

— Dalej tedy dzieci! Raźno naprzód! Marsz!

I szeregi, mimo znużenia, zaczęły się prędzej poruszać, a przewodnik pomknął do swego towarzysza, aby z nim razem jechać na czele chorągwi.

Niebawem też weszły one w długi, wązki parów, który niby korytarz ciągnął się gdzieś hen, daleko; końca jego trudno było dojrzeć. Południe już było blisko, wiatr rozpędził chmury, blade słońce wejrzało na ziemię i rozświeciło nieco mrok panujący w wąwozie, rzucając słabe, niepewne promienie na jego skaliste ściany, porosłe gęsto krzewami.

Właśnie armaty i ostatnie wozy taboru wjechały do parowu, gdy jadący o kilkanaście kroków przed pierwszym szeregiem przewodnicy wstrzymali nagle konie, dając gwałtowne znaki ręką, aby się szereg także zatrzymał; poczem jeden z gońców zlazł prędko z konia, przyłożył ucho do ziemi, następnie się zerwał, na konia skoczył i krzyknąwszy nadbiegającemu oficerowi:

— Wstrzymaj, waszmość pan, pochód aż do naszego powrotu! — pomknął wraz z towarzyszem jak strzała i wnet zniknęli pomiędzy załomami skały.

— Szepnął mu coś djabeł do ucha i poleciał jak wściekły! — mruknął pod nosem oficer i pospieszył zdać sprawę komendantowi o tem co zaszło.

Komendant kazał się zatrzymać żołnierzom, co chętnie uczynili, bo lubo stanie opóźniało upragniony spoczynek, to przecież kilkagodzinny marsz, po niezmiernie przykrej drodze, śmiertelnie znużył wszystkich, więc każdy rad był choć krótkiemu wytchnieniu.

Kwadrans upłynął może od zniknięcia przewodników, już się komendant głodny i upadający od zmęczenia, począł niecierpliwić, gdy naraz rozległ się gwałtowny tętent w głębiach leśnych, który rósł i zbliżał się z niepojętą szybkością; nagle ziemia zadrzała, zadrgnęły, wstrząsły się skaliste ściany parowu, jakby ręką olbrzyma wzruszone, jęły się walić kamienie, odłamy skał i drzewa, z pomiędzy których zabłysły ognie, hukły wystrzały i kule posypały się jak grad; równocześnie ze wszystkich stron ukazali się zbrojni mężowie, z wzniesionemi w górę szablami i z gromkiem okrzykiem.

— Hołubek! Hołubek! W pień psubratów! — rzucili się jak lawina na przerażonych nie wiedzących jeszcze co się stało Austryaków.

— Zdrada! Zdrada! — ryknął z rozpaczą komendant. — Formuj się! Do ataku! Naprzód!...

Ale głos jego zginął wśród straszliwego zamętu, zgiełku, krzyku i wrzasków. Sformować się, rozwinąć szyk bojowy, było czystem niepodobieństwem; a tu już na karkach siedzą, jak z pod ziemi wyrośli rycerze, rąbiąc, strzelając waląc skały i drzewa na ścieśnione, zamknięte w wązkim parowie szeregi.

Jedyny był ratunek uchodzić wąwozem do onej mającej być w jego końcu polany; ten i ów więc dał koniowi ostrogę i gnał na złamanie karku; lecz nim przeleciał kilkanaście kroków, padał ugodzony kulą, szablą lub kamieniem. Większa więc część, mianowicie piechota, zaczęła się bronić z wściekłością; niektórzy znowu próbowali się cofnąć, ale koniec parowu zagradzały wozy i armaty, ci zaś, co dobiegli szczęśliwie do przeciwnego końca wąwozu, wpadali

na nowy oddział zbrojny, a nieco dalej w trzęsawiska i błota, które się tu zamiast owej przyobiecanej polany rozciągały.

Tymczasem w parowie walka stawała się coraz zażartsza, coraz krwawsza; żołnierze austryaccy zmęczeni długim, mozolnym marszem, głodni i zrozpaczeni, walczyli przecież z lwią odwagą, broniąc się zaciekle, bo drogo postanowili sprzedać swe życie. Konie wyczerpane tak samo jak ludzie, poczęły się gryść i kwiczeć, szarpać i spinać, te zaś, które były przy wozach i armatach spłoszone, rozhukane pędziły środkiem parowu, tratując i rozbijając własne szeregi. Oficerowie czynili nadludzkie wysilenia, aby choć część swego wojska wyprowadzić z pogromu, lecz długo im się to nie udało; nakoniec komendant dopadłszy niewielkiej wyrwy w skalistej ścianie, tamtędy wydostał się na wolniejsze miejsce, z tysiącem konnicy; ale tu jeszcze musiał stoczyć zaciętą walkę, nim zdołał ujść w lasy.

W wąwozie zaś trwała dalej mordercza bitwa do samego wieczora; dopiero zachód słońca położył koniec krwawej rozprawie, w której legło trzy tysiące wojska posiłkowego. Hołubek, bo on to sprawił tę rzeź srogą nieprzyjacielowi, kazał rozpalić ognie, pozbierać wszystkich rannych, umieścić ich na wozach i odesłać do pobliskiej wioski; ztamtąd też i okolicznych osad zwołał ludzi do pochowania poległych; osobno złożono Polaków i osobno Austryaków, lecz jednym i drugim polecił Gabryel wystawić krzyż z napisem, sławiącym zasługi i męstwo zabitych; gdyż zacny wódz górników umiał i w nieprzyjacielu cenić i szanować odwagę, jakiej dał dowody w czasie zaciętej obrony w parowie.

Po krótkim spoczynku i pokrzepieniu się żywnością zabraną zwyciężonym, Hołubek zagarnąwszy wozy taborowe i armaty, ruszył spiesznym pochodem ku szerokiemu gościńcowi, który był ztąd dość daleko, a wiódł prosto do Rabsztyna.

W tym samym czasie nieszczęsny komendant austryackich posiłków, na czele nie całego tysiąca ludzi, pozbawionych wszystkiego, i z trzema oficerami, błąkał się wśród dzikich, leśnych bezdroży. Nieznający zupełnie okolicy, obawiający się ciągle nowego napadu, wyczerpani zupełnie głodem, marszem i bitwą, siedzieli biedni niedobitkowie przez kilka dni w lesie, żywiąc się ugotowaną zwierzyną i dzikiemi owocami, niż odważyli się wreszcie poszukać gościńca i wychylić z puszczy.

Dopiero w kilkanaście dni później dowlokli się do obozu arcyksięcia, lecz w stanie, któryby nawet skałę poruszył. Ci starzy, do zwycięstw przyzwyczajeni żołnierze, byli teraz przerażeni, lękający się niemal własnego cienia, zmordowani, głodni, obdarci, bezbronni prawie. Gdy ich takich Maksymilian ujrzał i dowiedział się o tym nowym niesłychanym pogromie, stał przez chwilę, jak skamieniały, błędnym wzrokiem wodząc dokoła. Zaś pan Andrzej Zborowski, wysłuchawszy szczegółów opowiadania o nagłym napadzie i krwawej porażce, zakrzyknął z wściekłością:

— To nikt, jeno ten bies, Hołubek! To nam dał folgę umyślnie, aby tem srożej uderzyć na nadciągające posiłki.

— Tak! tak wasza miłość! — zawołał komendant rozbitej odsieczy. — Hołubek! Tak wołali, bijąc nas, ci djabelscy synowie!

— O łotr! O zdrajca! Cham przeklęty! — ryczał pan Andrzej, targając czuprynę. A na to Maksymilian, który tymczasem mowę odzyskał i cały ogniem spłonął:

— Ale przynajmniej rycerz znamienity! I umiejący dzielnie bronić pana, któremu służy!

Tu gniew i rozpacz pochwyciły arcyksięcia, więc wołał dalej:

— Lecz mnie biada! Stokroć biada! żem uwierzył obłudnym lub niedołężnym doradzcom, którzy mi obiecali, to, czego dać nie mogą!... I jeno mię na wstyd, na hańbę, na śmiech całego świata narazili.

I tocząc oczyma po panach polskich, sypał na ich głowy, jak grad dotkliwe,

gorzkie wymówki. Aż niektórzy z panów, jak Zborowscy i inni, jęli się oburzać na Maksymiliana, zarzucać mu niewdzięczność i zbytnią krewkość; lecz poczciwsi i rozumniejsi ujęli się za nieszczęśliwym monarchą, który lubo nie był bez winy, dostał się w tak srogie opały, że był godzien pożałowania i litości, jak każdy człowiek w niedoli. Maksymilian wylawszy cały potok żółci na swych niedołężnych przyjaciół, udał się do swego namiotu, dając rozkaz, aby się szykowano do pochodu; nazajutrz tedy zwinięto obóz i całe wojsko ruszyło, cofając się dalej od Krakowa, ku granicy Szląskiej. Zatrzymano się dopiero w Krzepicach, gdzie się arcyksiążę okopał; tu bowiem postanowił przepędzić zimę, czekając wiosny i skuteczniejszej, potężnej pomocy cesarza. Bo nie dał jeszcze za wygraną! O nie!

Na wiele dni przedtem, stanął Hołubek ze swojem zwycięzkiem wojskiem w Rabsztynie, dokąd przywiódł całą zdobycz, zabraną w ostatniej walce; były tam armaty, wielka ilość broni, amunicyi, odzieży, żywności i sporo innych rzeczy, bo biedni niedobitkowie porzucili w wąwozie wszystko co z sobą mieli. Złożywszy łupy na Rabsztyńskim zamku, nie wypoczywając nawet wcale, poszedł młody bohater komunikiem naprzeciw królowi.

Zygmunt III był już w Piotrkowie, gdzie się zjechał z ciotką swoją, królową Anną; było przy nim wielu znakomitych panów, ale wojska mało, bo tylko 800 piechoty i 80 konnicy. Chciał młody monarcha coprędzej znaleść się w stolicy, ale towarzyszący mu panowie odradzali zbytni pospiech, wiedząc, że Zborowscy czyhają jeno, aby Zygmunta pochwycić, a tu bronić go nie było komu.

Aż pewnego dnia dano znać panu Wojciechowi Łaskiemu, sieradzkiemu wojewodzie, który rządził siłą zbrojną, znajdującą się przy królu, że znaczny oddział wojska się zbliża i to zdaje się austryackiego, bo w cudzoziemskich zbrojach i ze znakami, jakich w polskich chorągwiach nie ma. Popłoch wszczął się niemały, lecz wtem przybiegło na pięknych koniach, trzech dorodnych młodzieńców; najurodziwszy z nich szlachetnej postaci, lecz w nadzwyczaj skromnym rycerskim stroju, oznajmił, iż przybywa z polecenia kanclerza i prosił, aby go wprowadzono do króla.

— Jakto! Więc i to wojsko cudzoziemskie przysyła kanclerz? — spytał wielki marszałek Opaliński, który nadszedł w tej chwili. — Ale to przecież znaki nie hetmańskie!

— Są to górnicy okulscy i ochotnicy...

— Którym przewodzi przesławny Hołubek? — zawołał żywo wojewoda Łaski. — A onże sam, czy jest tu także?

— Tak jest, do usług waszej miłości! — odparł dorodny młodzieniec. — Jam jest Gabryel Hołubek.

— Waszmość?! Waszmość?!... Taki młody! — zawołali obaj panowie, a wszyscy obecni jęli się cisnąć do dzielnego górnika i otoczyli go w koło.

— Witaj że nam, witaj! cnotliwy młodzieńcze i sławny wodzu! — wykrzyknął pan Opaliński, opanowawszy zdziwienie, a wojewoda dodał:

— Bodaj ci się ręce święciły, panie bracie! żeś tak gnębił tych zdrajców!

A inni panowie wołali:

— Więc to waszmość tak dojeżdżałeś arcyksiążęcych? A siła ich tam pod Krakowem stoi? Zdołamyż się przebić do stolicy? Powiadaj, panie bracie!

Więc Hołubek jął opowiadać o ostatnich klęskach Maksymiliana, o zwycięstwie kanclerza i rozbiciu posiłków nadchodzących z Niemiec. Wszyscy słuchali ciekawie, ciesząc się okrutnie z pomyślnych nowin, ale wtem wielki marszałek wezwał Gabryela do króla.

Wprowadzono młodzieńca do ozdobnej komnaty, w której niebawem pojawił się młody monarcha Zygmunt III, liczył wtedy dopiero 20 lat życia, był bardzo przystojny, a choć niezbyt wysokiej, lecz szlachetnej postaci i pięknego oblicza; piękność tę przecież przyćmiewał smutek i dziwna posępność rozlana na twarzy. Jednakże łaskawie i uprzej-



NIE CHWYTA! (Obacz objaśnienia rycin na str. 336).

mie powitał król Hołubka, który upadł mu do nóg ze łzami szczęścia i radości w oczach, a z rumieńcem zapału na licach, i oddał powinny hołd prawemu panu.

Zygmunt podniósł młodzieńca, a wyraziwszy swoje zadowolenie, że poznał dzielnego wodza ochotników, o którym mówi już kraj cały, zapytał czyli możliwa jest przeprawa do Krakowa.

— Ach! Najmiłościwszy królu i ojcze! — zawołał Gabryel gorąco. — Bezpiecznie wstąpisz na swoją stolicę, pomiędzy dzieci twoje, które z utęsknieniem cię oczekują, prosząc Boga, aby raczył skrócić sieroctwo nasze.

— Wszelako arcyksiążę z panami Zborowskiemi oblega jeszcze Kraków — zauważył pan marszałek Opaliński. — Jakże tu narażać dostojną osobę Waszej Królewskiej Mości, na niebezpieczeństwo?!

Słysząc to Hołubek jął prosić z takim zapałem i tak wymownie powtórzył to wszystko, co mówił kanclerz o konieczności najprędszego przybycia króla do Krakowa, że zupełnie przekonał Zygmunta, który też pomyślawszy chwilę, rzekł:

— Młodzieniec ten słuszne przywodzi racye i wielki hetman mądrze uczynił, że go tu przysłał. Jać też chętnie powierzę się temu wiernemu synowi Ojczyzny i gorliwemu słudze naszemu, który już tyle ważnych usług oddał naszej sprawie.

— Dzięki ci, najmiłościwszy panie i ojcze! — zawołał uradowany Hołubek, składając ręce. — Życiem mojem i towarzyszy moich ręczę za szczęśliwe przeprowadzenie Waszej Królewskiej Mości do Krakowa. Jeno drogę trzeba obrać inną, bo w Przedborzu, ku któremu dążycie, miłościwy panie, pan Krzysztof Zborowski i Stanisław Stadnicki zasadzkę gotują.

Młodemu królowi przypadł bardzo do serca ognisty, pełen zapału i poświęcenia górnik, a że radził to, czego i Zygmunt gorąco pragnął, przeto chętnie godził się na jego przedstawienia. Pragnąc jednak zasięgnąć rady doświadczonych senatorów, bez których nie godziło mu się nic przedsiębrać, zwołał król wszystkich znakomitych panów na naradę. Po długich naradach zgodzono się na zdanie Gabryela i młodego monarchy, którzy bardzo obstawali za natychmiastowem jechaniem do Krakowa. Postanowiono tedy zaraz nazajutrz ruszyć do stolicy, obracając drogę na Rawę, Nowe-Miasto i Korczyn i od strony Wieliczki przybyć do Krakowa.

Zygmunt III urodził się w więzieniu i przesiedział w nim lat kilka wraz z rodzicami; gdyż więził ich król szwedzki Eryk, rodzony brat Jana, ojca Zygmuntowego; może właśnie to długie przesiedzenie dziecinnych lat w srogiem więzieniu było powodem posępności i małomówności króla Zygmunta. Choć sam nie wesoły, z przyjemnością widział przy sobie wesołe, szczere oblicze Hołubka, który przez całą drogę musiał być ciągle przy boku młodego pana. Z zadowoleniem przysłuchiwał się król opowiadaniom o podjazdowej wojnie, jaką śmiały górnik prowadził z wojskami austryackiemi, o psotach i szkodach jakie im wyrządził, o gniewie Maksymiliana i wściekłości Zborowskich po każdej klęsce; a wreszcie o powszechnie znanych już gorzkich wymówkach, jakie stronnicy arcyksięcia znosić musieli od swego despotycznego monarchy.

Hołubek zabawiając tak rozmową króla, nie zapominał o najważniejszem swem zadaniu, to jest zapewnieniu bezpieczeństwa jego dostojnej osobie, więc szerokim promieniem, od orszaku królewskiego, szły oddziały olkuskich zuchów, badając pilnie okolicę, żali gdzie nie grozi jakie niebezpieczeństwo, jaka zasadzka lub zdrada; dzielni ci górnicy tak byli wyuczeni w tropieniu nieprzyjaciela, tak umieli usuwać z drogi wszelkie przeszkody, albo je w razie potrzeby omijać, że mógł Zygmunt pod opieką wojska Hołubkowego przejść środkiem obozu arcyksięcia bez obawy poniesienia jakiej szkody, lub popadnięcia w niewolę.

Szczęśliwie też przebyto całą drogę, a gdy zabłysły wieże stolicy, Gabryel

sam skoczył do miasta, aby dać znać kanclerzowi, że król już blisko; poczem znowu wrócił do boku monarchy i wiódł go do Krakowa.

Na wieść, że król nadciąga, powstał w mieście ruch niesłychany: wznoszono łuki tryumfalne i bramy, zdobiono domy chorągwiami i dywanami, rozwieszano wszędzie nieskończenie długie gierlandy z zielonych gałązek chojny, stawiano aleje i klomby z drzew modrzewiowych, gdyż wszyscy wielcy i mali, pomimo bliskości wojsk nieprzyjacielskich, pragnęli uczcić i najwspanialej przyjąć prawego pana. Od Kazimierza i Stradomia ciągnęły się niezliczone łuki i bramy, na których widniały różne godła i napisy: tu umieszczono wizerunek Jagiellonów, poprzedników i przodków Zygmunta, tam Stefana Batorego podającego berło przybywającemu, owdzie powiewały chorągwie i lśniły się zbroje, zdobyte na Maksymilianie; na szczycie jednej z bram widać w gnieździe orła białego, który trzymał w szponach snop, godło Wazów, i wyrywanymi z niego kłosami karmił młode orlęta.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

JAPONIA.

Japończycy przyswoili sobie tak szybko cywilizacyą europejską, stali się z barbarzyńców narodem ucywilizowanym, tyle okazują zdolności, talentu, zgrabności, siły woli i ducha, że powszechną zwracają na siebie uwagę świata całego. Dla tego warto przypatrzeć się bliżej temu krajowi.

Japonia składa się z czterech wysp większych a z wielkiej liczby mniejszych. Wyspy te powstały przez podziemne wulkany, które wyniosły kawały i kawałki ziemi nad wodę morską. Takich wysp jest cały szereg w oceanie Spokojnym, w którym leży Japonia, i ciągnie się od północy ku południu.

Główna wyspa japońska, Nipo, jest przeszło 4000 mil kwadratowych wielka. Przez całą wyspę ciągnie się pasmo gór, w których jeszcze teraz znajdują się wulkany, czyli góry ogniem buchające. Najwyższa góra wulkaniczna, Fusi-Yama, jest 14000 stóp wysoka i wieczny śnieg leży na jej wierzchołku. Ognia ta góra już dawno nie wyrzucała. Inna góra wyrzuciła potok gorącej wody, który pozabierał drzewa i zboże. Czasem ziemia się trzęsie, morze się wzburza i zalewa brzegi, woda się kręci.

Morze naokoło Japonii jest bardzo burzliwe, lecz powietrze w kraju jest łagodne, dość stałe i zdrowe. Ponieważ wiatr północny i północno-zachodni wieje od okolic Azyi, które są pełne śniegu i lodu, dla tego powietrze na wybrzeżach północnych i zachodnich jest ostrzejsze aniżeli w innych krajach na tej samej linii leżących. W niektórych częściach Japonii jest śnieg i lód, kiedy na tej samej linii w Hiszpanii są to nieznane rzeczy. Na wybrzeżach wyspy Nipon wschodnim jest klimat bardzo łagodny i urodzajny, ponieważ góry środkiem wyspy idące chronią od ostrych wiatrów. Niektóre okolice wyspy są tak urodzajne, że ryż daje dwa sprzęty do roku. Rosną też trzcina bambusowa, palmy. Herbata ma być gorsza aniżeli chińska.

Japończycy są dzielnymi rolnikami i ogrodnikami, a nawet z roli kamienistej w górach mają wielkie dochody. Ponieważ nie ma długich rzek, dla tego z małych rzeczek i strumieni rozprowadzają wodę na wszystkie strony. Strome góry przemieniają w tarasy, aby je łatwo uprawiać, a na skały sypią ziemię urodzajną, aby mieć korzyści. Nawet w miastach zaludnionych, każdy Japończyk ma kawałek ogrodu. Ludzi wiele, miejsca mało, dla tego Japończycy muszą dobrze gospodarzyć. Ryż i ryby stanowią główne pożywienie ludzi. Ogro-

dy dostarczają im grochu, marchwi, sałaty, różnych korzeni, ogórków, batutów i t. d. Wołów, bawołów i krów używają tylko do ciężarów, ponieważ religia zakazuje im jadać mięsa tych zwierząt. Mleka też nieużywają. Konie są małe, lecz silne. Osłów, mułów, słoni, wielbłądów nie mają. Świni i owiec jest mało, natomiast bardzo wiele psów i kotów, bo też wiele myszy i szczurów jak w Chinach. Ptaki chwytają na lep, polowanie na kuropatwy, kaczki, bażanty, bekasy jest bardzo obfite. W okolicach kamienistych, mało zamieszkałych, znajdują się zające, lisy i małpy. Japończycy lubią bardzo przyrodę i w pieśniach lub poezyach sławią każdy kwiat, każde drzewo, każde zwierzę, mianowicie piękną muchę nocną, którą uważają za bardzo podstępną. Skrzydła tej muchy lśnią we wszystkich kolorach i są pokryte pasami niebieskimi i złotymi.

Z pewnego rodzaju morwy Japończycy wyrabiają papier i powrozy. Potem rośnie tam drzewo, z którego wyrabiają sławny japoński pokost. Z drzewa wychodzi mleczny sok, którym pokrywają meble i inne wyroby. Na cały świat słyną japońskie lakierowane, pokostowane wyroby z drzewa i metalów. Jedwabnictwem i tkactwem trudnią się Japończycy od dawna, teraz urządzają fabryki na sposób europejski. Zegary i wszystkie inne instrumenta wyrabiają teraz Japończycy zgrabnie i umiejętnie. Godzina jest u nich nie równie długa w różnych porach roku, dla tego mają ich zegary kilka tarcz i kilka wskazówek, lecz mimo to, są zgrabne. Domy Japończyków są budowane lekko z trzciny i drzewa na kamiennych podstawkach, niskie z powodu trzęsienia ziemi. W środku są ściany ruchome, aby można sobie porobić izby większe i mniejsze. Zamiast pieców mają naczynia do ognia, dym wychodzi drzwiami lub otworem w środku domu. Domy bogatych są pokryte cegłą lub miedzią, domy ubogich szkudłami, na które kładą kamienie, aby burze nie zrzuciły dachu, podobnie jak ludzie czynią we Szwajcaryi i innych górzystych krajach. Naokoło domu są kryte ganki.

Japończyk siada na słomiankach na ziemi, które czasem są pokryte kobiercami, jada za pomocą małych, drewnianych kijków, nogi ma zawinięte pod sobą, jak krawiec. W izbach widać tylko szafy z wielu szufladami i parasole, które Japończyk zastawia kiedy chce spać. Ściany są pokryte papierem srebrzystym lub złotawym, obmalowanym kwiatami, u bogatych ściany pokrywa drzewo pięknie wyrobione i porcelana. Ponieważ domy są z drzewa, dla tego często zdarzają się pożary. Widać też przy domach naczynia z wodą, a straż pożarną mają Japończycy od dawna.

Rolnicy i kupcy mają magazyny wybudowane z kamienia, kryte dachówką. Szyb ze szkła nie było dawniej, ich miejsce zajmuje papier tłuszczem napuszczony. Wieczorem oświetlają domy latarniami drewnianemi, w których też zamiast szkła jest papier olejem napuszczony. W latarniach jest niska miseczka z tłuszczem i knotem z papieru.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

Kazimierz hrabia Badeni.

W Austryi panowały niezdrowe stósunki w kołach rządzących; dla tego rozprzęgała się cała maszyna administracyi rządowej monarchii austryackiej, która właśnie wskutek różnolitości swych ludów potrzebuje u steru silnych mężów. Jeden z prezesów ministrów opierał się raz na tem, drugi na owem stronnictwie, trzeci pragnął oprzeć rządy swe na kilku stronnictwach, słowem, żaden nie miał trwałych podstaw pod nogami. Partyjna bowiem polityka ni-

gdy nie może doprowadzić do umocnienia państwa na wewnątrz a do zapewnienia mu szacunku i powagi na zewnątrz. Nareszcie znalazł się mąż, który zdaje się, wprowadzi politykę Austryi na zupełnie inne tory i który uchodzi dziś za jedynego najstósowniejszego kierownika wewnętrznej polityki austryackiej.

Mężem tym jest Polak, hr. Kazimierz Feliks Badeni, którego podobiznę równocześnie podajemy. Obecny prezydent austryackich ministrów urodził się 14-go Października 1846 r. W najwcześniejszej już młodości swej rozpoczął służbę państwową. Uzyskawszy na akademii stopień doktora praw, był najpierw koncepistą w starostwie krakowskiem. W roku 1871 został starostą w Żółkwi. Pracował następnie w ministerstwie spraw wewnętrznych, potem był znowu starostą — w Rzeszowie — i jako delegat namiestnictwa w Krakowie usunął się ze stopniem radzcy dworu w roku 1885 do życia prywatnego. Dnia 20-go Października 1888 zamianował go cesarz namiestnikiem w Galicyi, na którem to stanowisku pokazały się jego wielkie zdolności administracyjne. Cesarz dawno byłby go już zrobił swym prezydentem ministrów, ale Badeni uważał za stósowne teraz dopiero ująć ster rządów w swe ręce. Jak wielkie cesarz Franciszek Józef pokłada zaufanie w swym prezesie ministrów, poznać można z jego słów: »Jak Badeni będzie prezesem ministrów, będę miał przynajmniej kilka lat spokojnych.« Cesarz to powiedział z głębokiego przekonania swego i prawdopodobnie spełnią się życzenia jego pod tym względem. Program hr. Badeniego, jaki rozwinął na posiedzeniu Izby deputowanych, obudził takie zaufanie nawet wśród najniespokojniejszych duchów parlamentarnych, że powiedzieć można z całą pewnością, iż hrabia Badeni potrafi wzbudzić szacunek dla swej polityki. Wyższości zdolności jego w administracyi rządowej idą bowiem w parze z wielką siłą ducha, z przeświadczeniem głębokiem, że droga, którą obrał, wieść będzie Austryą do potęgi na zewnątrz i wewnątrz i z żelazną energią, która potrafi przełamywać wszelkie trudności i zapory. Dążność jego polityki da się streścić w słowach: »Rząd nie będzie się kierował polityką stronnictw poszczególnych, bo nie stronnictwa rządzą rządem, ale rząd kierować powinien stronnictwami. Stronnictwa, gdy nie mają nad sobą wyższej powagi, osłabiają wpływ i szacunek kraju na zewnątrz, sieją zaś niezgodę i rujnują na wewnątrz. Rząd będzie się rządził sprawiedliwością rzeczywistą, nietylko na polu ekonomicznem ludów poszczególnych, ale i społecznem. Austrya nie jest dawniejszem państwem prawdziwie niemieckiem, jakiego monarchą mianował się przy końcu zeszłego stulecia jeszcze cesarz austryacki, jest ono związkiem rozmaitych szczepów narodów słowiańskiego, germańskiego i rumuńskiego.


KAZIMIERZ HR. BADENI.

Każdy szczep ma racyą swego bytu społecznego i obowiązkiem rządu być powinno, ażeby byt tych ludów utrzymać. Ludy te żyć pragną jako szczepy odrębne i to życie im odbie-

rać, byłoby gwałtem i pomściłoby się z czasem na Austryi. Na miłości wzajemnej zaś ludy istnieją i rozwijają się.«

ŻYCIE.

Życie to szkoła — kiedy do tej szkoły
Dusza dziecięcia zbudzi się o świcie:
Pamięta we śnie widziane anioły,
I jako anioł rozpoczyna życie.

I cała ziemia zdaje się jej rajem,
Choć stromą tylko jest ścieżką żywota;
Początek drogi kwitnie wiosny majem,
Lecz u jej szczytu piętrzy się Golgota!

Życie to podróż... O! niechże wie wcześnie
Młodziuchny pielgrzym co ta podróż znaczy?
Bo choć się stopy rozkrwawią boleśnie,
Iść trzeba mężnie przez ów szlak tułaczy...

I walczyć, wzorem chrześciańskich szermierzy;
Bo życie walką... walką z samym sobą —
Ze złością świata co się wkoło szerzy, —
Z ducha niemocą — i z serca żałobą!...

Życie to praca... Ale czyj trud święty,
Ten niedba — ciernie zbierze, czy wawrzyny,
On ma cel inny — cel z góry wytknięty:
»Wcielać myśl Stwórcy w stworzeń Jego czyny.«

I nie narzeka, gdy na czasu fali
Nikną bez śladu młodych marzeń kwiaty;
I nie rozpacza, gdy mu plon bogaty
Ogień zniszczenia ogarnia i pali.

I nie upada, kiedy dusza bratnia
Jedna za drugą zwolna go opuszcza;
Gdy drogi koniec jest jak ciemna puszcza...
Bo się dopala już gwiazda ostatnia!...

Tam Krzyż, u mety wyciąga ramiona
Błogosławiące nad pielgrzyma głową;
Tam bój wygrany — tam praca spłacona —
Zagadki życia tam ostatnie słowo!

W setną rocznicę rozbioru Polski.

Dnia 24 Października bieżącego roku przypadła ta smutna rocznica. Dnia 24-go Października 1795 r. odstąpił ostatni król polski, Stanisław August Poniatowski, resztę kraju polskiego.

Znikła polska polityczna ale żyje Polska duchowa. Rwał się naród polski po dwakroć do broni, ażeby odzyskać niepodległość, ale za każdą razą uległ przemocy. W roku 1830 wcielono część Polski, dzisiajszą Kongresówkę, jako prowincyą osobną do Rosyi, gnębiono wiarę i narodowość w brutalny sposób. W roku 1863 karano śmiercią powstańców, zesyłano na Sybir, zabierano majątki wygnańcom, zaczęto rugować język ze szkół, sądów, urzędów. Niedosyć na tem. Rozciągnięto wprost barbarzyńską cenzurę nad wszystkiem, co stoi choćby w najdrobniejszym związku z życiem narodowem, społecznem i towarzyskiem tamtejszych Polaków.

W Prusach wyrugowano także język polski ze wszystkich zakładów i urzędów publicznych i państwowych. I w dziedzinie życia ekonomicznego i społecznego czynią wszystko, ażeby zgnębić narodowość naszą, wydobyć resztę zasobów nietylko ducha ale i ciała i utopić powoli w morzu germanizacyi. Walka przeciwko nam trwa nieprzerwanie i prowadzoną jest z wielką energią i zaciętością. »Upaść jednak może naród wielki, zniknąć tylko nikczemny.« Naród polski zaś, który miał tak chwalebną przeszłość historyczną, który miał bohaterów walczących na polu bitwy czy to dla chwały wiary świętej, czy oręża polskiego, który ma tak wspaniałą literaturę, taki naród upaść nie może. Na wzorach przeszłości, na bohaterach czynu i pióra bierze sobie młode pokolenie wzór, jak ma żyć, jak wpajać w następne pokolenia miłość do wiary i języka swego i tej przeszłości chwale-

bnej, która go na duchu podnosi i upaść mu nie pozwoli.

Przechodzić musimy co prawda ciężkie czasy, ciężko nas Pan Bóg karze za grzechy ojców naszych. Szlachta wszechwładna w Polsce za czasów swobody politycznej gardziła handlem i przemysłem, trudniła się jedynie tylko rolnictwem. Po rozbiorze Polski biedniała szlachta coraz więcej, a lud polski był w zacofaniu i ciemnocie. Handel i przemysł, rozwijający się po wielkich wojnach napoleońskich zastał nas nieprzygotowanych, zastał nas nieporadnych, bez tego zmysłu praktycznego i przedsiębiorczego, który w biegu wieków dawniejszych przyswoiły sobie inne narody. Pozostaliśmy zatem daleko po za innymi, biedni, nękani coraz więcej, wyzyskiwani. Dziś pokutować musimy za to w części. Społeczeństwo nasze zubożałe, nie mające tych zasobów, ażeby sprostać innym narodom także i na polu oświaty; odgrywać musi chwilowo poniekąd rolę klasy pracującej, jest w większej swej części zależne jeszcze od kapitału obcego. Ale i w tym względzie dzieje się już coraz lepiej. Lud polski bierze się coraz więcej do oświaty, handlu i przemysłu, poczyna się dorabiać i wyrabiać i stawać się tym czynnikiem, z którym się liczyć muszą i inne narody. Oświata zaś przyczynia się do coraz to większego rozbudzenia ducha, przyprowadza szersze klasy stanu niższego do tego uświadomienia swego poczucia narodowego i obywatelskiego, budzi coraz to większą wiarę w siebie i siły własne, dodaje odwagi i otuchy w przyszłość, bo obudza w nas to przekonanie, że skazani jesteśmy na własne siły, że więc zmuszeni jesteśmy sami, bez oglądania się na kogoś bronić skarbów największych naszych, skarbów ducha, skarbów wiary i narodowości naszej. Ta wiara powiada nam, że tylko Bóg i my sami pomódz sobie jesteśmy zdolni, że więc na nas samych zależy, ażeby ten zdrój, z którego czerpiemy wiarę w przyszłość narodu polskiego, nie zasechł. Ten zdrój zaś to nasze serce i poczucie polskie, to ten honor, który nam nakazuje wszędzie i na każdem miejscu jawnie i dobitnie objawiać uczucia nasze polskie i katolickie, to ten honor, który zmusza nas dbać o dzieci nasze, każe nam przelewać w nie miłość do języka ojczystego i wiary naszej. To poczucie polskie i katolickie dokaże tego, że choćby wszystkie potęgi sprzysięgły się na zagładę naszą, my żyć nie przestaniemy, choćby duchowo.

Wpajajmy jednak usilnie w dzieci nasze miłość do wiary, języka i ziemi, a zadowolenie, żeśmy spełnili powinność naszą w obec narodu, będzie nam stokrotną zapłatą. Przyszłe pokolenia z wdzięcznością o nas wspominać będą i z większą jeszcze wiarą w przyszłość święcić będą drugie sto lat politycznej niewoli.

IGNAŚ.

Opowiadanie z czasów wydalań rodzin polskich z granic Niemiec.

I.

Działo się to późną jesienią r. 1882. Noc była ponura, niebo całe pokryte było gęstemi chmurami; ni blask miesiąca ni żadna gwiazdka nie rozjaśniała swem figlarnem mruganiem ćmy naokół panującej. Powietrze przesycone było wilgocią, wiatr zachodni pomiatał z szelestem resztkami zwiędłego liścia. Prócz szumu wiatru i szelestu liścia żaden głos żywy nie przerywał ciszy nocnej. Psy nawet, skuliwszy się w kłębek, tylko cichem warczeniem przyjmowały każdy szmer podejrzany. Do wyjścia z budy nawet im nie stało ochoty.

Wieś Śliwińce przy bitym trakcie pomiędzy Toruniem a Działdowem pogrążyła się już w śnie głębokim. Przed okiem przechodnia na tle nocnem ledwie w ogólnych konturach rysowały

się kształty chałup i drzew, ciągnących się wzdłuż drogi. W jednej tylko niewielkiej chacie na końcu wsi błyszczało jaskrawe światło. W blasku padającym przez okno, przechodzień rozróżniał przed domem sadek niewielki z kilku »koszkami« pszczół, sklepik w ziemi wykopany czyli parsk, jak go w tych stronach nazywają i obok niego psią budę.

W chacie jeszcze nie spano. Na kominie płonął ogień i rozszerzał w szczupłej izdebce przyjemne ciepło. Jego migotliwe blaski padały na poczerniałe ściany niskiej i ciasnej izdebki. Czasami wiatr silniej zaszumiał, obluzowane deski w szczycie domu zatrzeszczały, źle opatrzone okienko »zaszczekotało«, przez jego szpary i poklejone szyby fala jesiennego powietrza dostawała się do wnętrza izby, przejmując chłodem i dreszczem. Natenczas ogień na kominie żywiej zamigotał i blask jego krwawy padał na twarz Chrystusa cierpieniem zoraną, lecz pełną miłości, odpustową kopią litograficzną obrazu Murilla, wiszącą na przeciwległej ścianie.

Blask jego krwawy padał i na inną twarz o niemniej bolesnym wyrazie. Na desce, której jeden koniec opierał się o szeroki gzyms komina, leżało ciało młodej niewiasty. Skrzyżowane na piersiach ręce, twarz drobna i blada o regularnych, acz przedłużonych rysach, usta wązkie i posiniałe, boleśnie zaciśnięte dodawały tej wątłej postaci majestatycznego spokoju i niemal świętości. Blask migocącego ognia ślizgał się po jej bladej twarzy, igrał około jej ust i oczu, zdawać się chwilami mogło, że zmarła żyje, że otwiera oczy, że się uśmiecha.

Na około zmarłej na stołkach i zydlach siedziało kilka skulonych, zaspanych bab. Odprawiano tak zwaną pustą noc przy ciele »nieboszczycy«.

»Przez Twój pot, o Jezu drogi,
Wyzwól duszę z męki srogiej.

. . . .

. . . .

O Jezu!

zanuciła drżącym i piskliwym głosem jedna z obecnych i

»Przez Twój pot, o Jezu drogi,
Wyzwól duszę z męki srogiej«

zawtórowały jej podobnymże głosem, budząc się ze snu, towarzyszki.

W głowach nieboszczki, na skrzynce czerwonej o niebieskich polach, pomalowanych w białe i żółte kwiaty, siedziała z założonemi na kolanach rękami kobieta lat może pięćdziesięciu. W śpiewie ogólnem nie brała udziału, owszem, po oczach jej było widać, że śpiew ten niesłuchany odbijał się o jej uszy. Wzrok jej wlepiony był mechanicznie w przeciwległy komin, ale jej dusza była widocznie gdzieś daleko.

O czem dumała Jędrzejowa? Ha! wiedzieć trudno. Może pamięć jej roztaczała właśnie przed oczyma jej duszy wspomnienie onej chwili rozkosznej, kiedy, przed laty trzydziestu, jej Jędrek, objąwszy ją w poły, zapytał, czy chce być jego? On był forysiem w Śliwińcach, ona służyła w dworze do posługi. On, młody i dorodny, był celem jawnych i skrytych wzdychań śliwienieckich dziewczyn, nad nią nie było urodziwszej tanecznicy i robotnicy w całej tej stronie, a oboje mieli się już dawno ku sobie. On wychodził właśnie z czeladniej kuchni, ona wracała od doju, kiedy spotkali się w sieni. Mrok już był gęsty. On pochwycił ją wpół i cisnąc do siebie, rzekł głosem drżącym od namiętności:

— Jaguś, albo kto co zadał abo co, ale jak cię widzę, to mi się jeno coś tak robi, że to ha!

— Bodajbyś gadał, Jędrek — odrzekła Jagusia, starając się z lekka odsunąć od niego — ale ja ci jednak nie wierzę.

— Bóg widzi, Jaguś, że jak ci powiadam, że bez ciebie, to i życie mi za nic. Chcesz ty być moją?

Jagusia nic nie odpowiedziała, tylko namiętnie przycisnęła się do niego. W następną Niedzielę oboje weszli do pokoju pana. Jędrek skłonił mu się do kolan, pocałował w rękę i oznajmił swą prośbę. Rumieniąc się, poszła Jagusia jego śladem. Pan Nieżywiecki dobrym był dla swych ludzi panem i ze służby ich kontent. Dał więc swe zezwolenie i przyrzekł »wyszykować« pustą chału-

pę. W sześć tygodni później Jędrek wprowadził swą Jagnę do nowego mieszkania.

wała do świtu doglądać prosiaków, płótno bielić na bielawie, okopywać kartofle, krowie poddać paszy. Nadto umiała



SMUTNE KWIATY. (Obacz objaśnienia rycin na str. 336.)

Jagna była robotnica jakiej szukać, a nadto przy dworze nauczyła się niejednego, co jej się teraz przydało. Wstaprać, szyć i prasować, więc też zaradność jej i umiejętność przemieniły wkrótce ich mieszkanie w skromny przy-

bytek szczęścia, jakie zawitało w ich progi. Jędrek, o ile mu służba pozwalała, był jej w troskach gospodarczych wierną pomocą. To też kto przejeżdżał przez Śliwińce, temu czystością i porządkiem wpadała w oczy niewielka chata na końcu wsi, ze starannie utrzymywanym sadkiem na przodku i kilku »koszkami« pszczół.

Tylko we względzie dzieci jakoś nieszczególnie im się wiodło. Dał im wprawdzie Pan Bóg w pierwszym roku pożycia małżeńskiego córeczkę, ale ta zaledwie trzy dni przeżywszy, pożegnała ten padół płaczu. Odtąd Jędrek niemal co rok woził mądre baby z pobliskiego miasta, ale dzieci przychodziły na świat cherlawe i umierały po niedługim czasie. Jędroch smutkował z tego powodu, jeszcze więcej smutkowała Jagna. Nareszcie lepsza dola zajaśniała ich małżeńskim życzeniom: po sześciu latach pożycia Jagna obdarzyła Jędrocha córeczką, która, jak się zdawało, większe zasoby sił żywotnych przyniosła na ten świat ze sobą. Haźbietka, takie imię nadali jej rodzice, żyła trzy dni, żyła tydzień, żyła miesiąc jeden i drugi. Jędroch nie wierzył swojemu szczęściu. Ile mógł, wyrywał się od służby do chałupy, aby choć tylko na chwilę rzucić okiem na kołyskę, aby się przekonać, że Haźbietka żyje, aby ją pobujać na ręku. Pan łajał, że Jędroch już nie tak pilnuje służby jak dawniej, ale w gruncie rzeczy był wyrozumiały na jego rodzicielskie uczucie. Jędroch przepraszał, obiecywał poprawę i brał się ze zdwojoną gorliwością do roboty, aby od siebie odegnać wszelkie inne myśli. Ale gdy kilka godzin nie widział swojej Haźbietki, coś go gwałtem ciągnęło do domu. Czas wreszcie, ten niepohamowany kojciel wszystkich uczuć, i jego ojcowskiemu uczuciu przyniósł uspokojenie. Jędroch przyzwyczaił się do swego nowego szczęścia i stał się znowu najgorliwszym i najpilniejszym sługą swego pana.

Życie Haźbietki potoczyło się zwykłym w tych sferach torem. Do skończenia szóstego roku chowała się w najzupełniejszej swobodzie z resztą dziatwy wiejskiej, więcej na ulicy i polu, niż w domu. Kiedy skończyła rok szósty, ojciec zaprowadził ją do szkoły, skłonił się nauczycielowi do kolan i prosił o zajęcie się dzieckiem. Nauczyciel był to jeden z tych naówczas jeszcze nierzadkich okazów dawnej daty, którzy przeżywszy na miejscu lat całe dziesiątki, zrastali się ze swoją gminą i wychowywali kilka generacyi. Uczył on niegdyś i Jędrocha. Haźbietka było to dziecko wątłe o bladej cerze i nadzwyczaj delikatnych rysach twarzy. Ale w jej modrych jak dwa bławatki oczach leżał wyraz inteligencyi, zmięszanej z łagodnością usposobienia, która mimowoli chwytała za serce. Nauczyciel popatrzał na nią z dobrotliwym uśmiechem przez swe duże, w stal oprawne okulary, pogłaskał dziecko po bladem liczku i klepiąc po ramieniu rzekł:

— No, już tylko bądźcie spokojni, już my tam zobaczymy co się z nią da zrobić.

Haźbietka miała pojęcie bystre. Wkrótce też stała się ozdobą śliwinieckiej szkoły. W czytaniu i pisaniu wnet prześcignęła starsze dzieci, w katechizmie odpowiadała pewno i śmiało, rachowała szybko i zręcznie, a w śpiewie nie było nad nią. Kiedy dzieci zanuciły w chórze: »Leci po błoniu rycerz na koniu«... jej czysty, dźwięczny głosik brzmiał jak napięta struna metalowa i stawał się przewodnikiem dla reszty dzieci. Natenczas nauczyciel, odkładając na bok skrzypce i odsuwając na czoło wielkie, w stal oprawne okulary, wołał z zadowoleniem:

— Tak, tak, dobrze, Elżbietka, dobrze; gdy na egzamin przyjedzie ksiądz proboszcz, będzie może znowu obrazek, będzie i pochwała.

I gdy na egzamin w roli lokalnego inspektora przyjechał ksiądz proboszcz, był rzeczywiście obrazek, była i pochwała, a Jędrzejowe serce rosło.

Gdy Haźbietka skończyła rok czternasty, nie było powodu zatrzymywać ją dłużej w szkole. W świadectwie osobliwie jej zachowanie i pilność wzmianko-

wane były z pochwałą. Trzeba było pomyśleć o dalszym jej losie. Matka odziała ją w najlepszą suknię i zaprowadziła do miasta. Haźbietka bez trudności znalazła miejsce na piastunkę. Jędroch dzień cały chodził markotny, ze zwieszoną głową, połykając łzy, które mu się cisnęły do oczu, a gdy wieczorem wrócił do domu, na głos się rozpłakał. »Tęga« go brała za dzieckiem, zmora smutku dławić go poczęła. Robota mu nie szła od ręki, wieczorami zaglądał do karczmy i widocznie podchmielony, co mu się dawniej prawie nigdy nie zdarzało, wracał do domu. Raz kładąc się spać, rzecze do swej żony:

— Wiesz co Jagna, abo nie wytrzymam, abo co. Bez Haźbietki jakby pół duszy człowiekowi ubyło. Pójdę i wezmę dziecko nazad, jeśli nie dobrocią, to bez gwałt.

Szczęściem gwałtu nie było potrzeba; na trzeci dzień po tej mowie około południa Haźbietka wróciła do domu. Do służby miejskiej okazała się chętną ale zbyt słabą. Odtąd nie opuściła Śliwiniec. We dworze znalazło się dla niej lżejsze zajęcie, używano jej do posyłek, używano do wszelkich prac w domu i ogrodzie, które nie wymagające zbytniego natężenia sił fizycznych, wymagały tem więcej inteligencyi. Jej spokojne, łagodne usposobienie, jej chętność do usług, jej bezpretensyonalna pracowitość jednały jej serca wszystkich. Gniewać się na nią było niepodobna. Gdy swojemi modremi, tęsknemi oczyma spojrzała na człowieka, uśmierzała się największa zawziętość. Nawet sam pan ekonom, otyły, połysiały jegomość, który dzień cały nie rozstawał się ze swoim nahajem, a gdy wieczór nadszedł, wieszał go nad łóżkiem, mawiał nieraz:

— Ej, ty wiedźmo zamówiona, Bóg widzi, jakbym czasem rad dał potańcować mojemu kańczugowi po twoim grzbiecie, za to, że dzień cały nic nie robisz, tylko się swędasz koło dworu. Ale powiedziesz po człowieku swemi zaklętemi ślepiami i w mig nie wiem gdzie się gniew mój podział.

Pomiędzy tymi, w których serce topniało pod działaniem iście czarodziejskich oczu Haźbietki, nie ostatni był Kuba, gorzelańczukiem zwany. Sprytny i czupurny, był prawą ręką gorzelanego, i, jak mówiono, wtajemniczony we wszystkie kunszta objeżdżania kontroli fiskalnej. U równych sobie zażywał wielkiej powagi, nietylko dla swego sprytu, ale i dla tego, że był głośny jako najpierwszy »bijaka« w całej okolicy. Skąd był rodem, nikt na pewne nie wiedział. Mawiano tylko, iż z ojcem dziadem chodził po żebrach, zanim przybył do Śliwiniec. Staremu Jędrochowi jego umizgi do Haźbietki nie były na rękę, czuł on do niego wstręt instynktowny. Ale Kuba miał możną protekcyą. Jego orędownikiem był sam pan gorzelany. A pan gorzelany była to osoba wpływowa w Śliwińcach, jego naleganiom trudno się było oprzeć, zwłaszcza gdy za poplecznika swego klienta pozyskał samego pana. Z ciężkiem sercem Jędroch dał wreszcie swoje zezwolenie.

Nie miał on jednakże doczekać się pociechy wnuków. Było to przy zbieraniu potrawu. Rok był nadzwyczaj mokry i wody rozlały szeroko. Gospodarze byli zmuszeni więcej kraść niż zbierać z pola swe plony. Lud służebny tygodniami całemi wałęsał się bez zajęcia około stajen i gumien, pan ekonom dla ulżenia uciśnionemu sercu chodził sapiąc i spluwając, i sypał piorunami i batogami, gdzie się do tego nadarzyła sposobność, a pan Nieżywiecki, żeby nie słyszeć bijącego w okna deszczu i nie widzieć, co się na polu dzieje, zamknął się w swoim gabinecie i zagłębił z niebywałą żarliwością w lekturze dzienników. Ale za to, gdy słońce dzień jeden ukazało swe jasne oblicze, i konie i ludzie mieli za swe, bo natenczas pan ekonom żartów nie znał.

Wóz Jędrocha za ciężko był naładowany. Na mokrej łące koła zagrzęzły, konie stanęły, nie pomogło ni wiokanie ni bicie. Trzeba było wóz »naddać«. Kilku ludzi schwyciło za koła, sam pan ekonom wziął lejce w ręce, Jędroch zaś, który był jeszcze w sile wie-

ku, podlazł pod oś zadnią i plecami podsadzał. Konie szarpnęły, wóz się poruszył i wyjechano szczęśliwie na grunt stalszy. Ale Jędrochowi, gdy wylazł z pod woza, źle się zrobiło i ledwie z wytężeniem wszystkich sił fizycznych i moralnych wytrzymał do wieczora przy pracy.

— Jagna — rzekł wchodząc wieczorem do domu — abo mi daj wódki z tłustem abo co. Nieraźno mi jakoś; i to krzyż mnie boli i ograżka mnie trzęsie. Oberwałem się dziś przy sianie i ledwie mnie nie ćpi o ziemię.

Jagna wódki nie miała, ale gdy spojrzała na Jędrocha, jakby ją coś za »lelita« szarpnęło. Wyraz jego twarzy się zmienił, pożółkł i niemal poczerniał.

— Ach, rety Maryo — zakrzyknęła z przerażeniem — mizeroto ty moja, jakże ty wyglądasz?

Jędroch sam ledwie był w stanie się rozebrać. Ściągnęła mu przemokłe buty, położyła go w łóżko, przykryła dwiema pierzynami, zagrzała pokrywkę i obwinąwszy szmatami, położyła w nogi. Haźbietka pędem poleciała do dworu. Za jej powrotem zagrzano mu lipowych ziółek, natarto krzyże kamforowym spirytusem. Te starania zdawały się Jędrochowi przynosić niejaką ulgę. Mniej stękał, mniej wyrzekał, skarżył się tylko czasami, że mu tchu brakuje. Nareszcie się zdawało, jakoby usnął.

Haźbietka poszła spać do alkierza, Jędrochowa, siedząc na skrzynce przy łóżku męża, poczęła drzemać. W tem zakaszlał, zakrztusił się i jakby w malignie usiadł na łóżku. Jędrochowa przyskoczyła do niego. Jędroch zakaszlał drugi raz i strumień krwi buchnął z ust jego. »Jezus, Marya, ratunku!« — krzyknęła Jędrochowa przeraźliwym głosem. Przyskoczyła Haźbietka, obie kobiety biegały bezmyślne i bezradne. Jędroch blady leżał na łóżku i ciężko robił piersiami, pierzyna i poduszka były krwią zbroczone. Wtem znowu podniósł się na łóżku, chwycił się za serce, zakaszlał i znowu strumień krwi buchnął z ust jego. Haźbietka narzuciła na siebie lekką spódniczkę i z płaczem popędziła do dworu. W dworze jeszcze nie spali; pan wysłuchawszy o co rzecz chodzi, kazał co żywo zaprzęgać po doktora. Doktora jednakże nie było potrzeba, nim zaprządz zdołano, Jędroch żyć przestał.

Wesele Haźbietki odbyło się w trzy miesiące później pod uciskiem rzeczywistego smutku, jaki pierwszy raz zawitał do chaty Jędrocha. Kuba okazał się dla niej lepszym mężem niż po jego przeszłości spodziewać się było można. Kochał ją szczerze i miejsce, jak mówią, radby jej był odmuchnął. Mieszkanie miał w całej wsi najlepsze, zarobek obfity.

(Ciąg dalszy nastąpi.)

OBJAŚNIENIA RYCIN.

Nie chwyta! Obrazek to napozór bardzo pojedyńczy, wydaje się, jakoby w nim nie było głębszej myśli — a jednak! Przypatrzywszy się uważniej smętnej nad wyraz twarzy chłopczyka, łowiącego ryby wędką, spostrzeżemy, że myśl jego buja nie przy rybach, ale gdzieś — w oddali. Nie chwyta! Tak! może się rybka domyśla zdrady i dla tego nie idzie na lep tej okruszyny, przynęcającej ją, a przytwierdzonej do haczyka! Wie, że na zawsze zgubiona, jeśli zawczasu nie ominie pułapki. Czyby ów chłopczyk miał podobną myśl? Być może. Pewnie zastósowuje to do siebie. Tak! i on w życiu pragnie być swobodny i wolny. Nie żąda swobody rybki, do końca swego życia wesoło po wodzie pląsającej — nie, on pragnie w dalszych latach ominąć sidła zdradzieckiego świata, bo gdy raz w nie wpadnie, trudno mu przyjdzie wydobyć się z nich bez uszczerbku dla siebie.

Smutne kwiaty. Patrząc na rycinę, domyślimy się powodu smutnego, dziwnie poważnego oblicza dziewczyny. Splatanie wieńcy na trumny i groby dla umarłych — to jej zajęcie. Spotykając się bezustannie z osobami, zamawiającemi wieńce u niej, przepełnionemi smutkiem po stracie najmilszych, przejęła się z biegiem czasu poważnym nastrojem ducha. Nie cieszy się zarobkiem, owszem im go więcej posiada, tem więcej się smuci — smuci się smutkiem tych osób, które wieńcem jej pragną ostatnią wyświadczyć przysługę swym najdroższym

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa »Katolika« w Bytomiu G.-Szl. — Redaktor odp.: **Adam Napieralski** w Bytomiu.

Ze świata zbrodni.

W Paryżu wydał pewien urzędnik policyjny dziełko, w którem zamieścił opis sposobów, na jakie się biorą wielcy oszuści przy rozmaitych swych „operacyach“, dokonywanych czy to wprost na kieskach osób, czy też w inny jakikolwiek sposób. Warto przytoczyć kilka przykładów z tego ciekawego dziełka, ażeby poznać wyższą zmyślność i zuchwałość niektórych takich ptaszków.

Pewnego dnia wchodzi do składu jednego z znacznych jubilerów francuzkich młoda, śliczna, przystojna kobieta i powiada: „Jestem hrabiną de Salle. Siostra moja zamierza w niedalekim czasie pobrać się z dyrektorem wielkiego szpitala w ulicy Longchamps. Jestem upoważniona zakupić z tej okazyi rozmaitych kosztowności na wiano. Chciałbyś się Pan podjąć dostawy? Zapłacimy naturalnie gotówką“ Radość jubilera była wielką. Powykładał najpiękniejsze klejnoty, jakie posiadał, dama z miną znawczyni zrobiła wybór, układała się przez dłuższy czas o cenę i nareszcie, gdy ugoda stanęła, rzekła: „Proszę Pana, zechciej Pan te klejnoty nadesłać lub takowe sam przynieść. Proszę również nie zapomnieć o rachunku. Oczekujemy przesyłki punktualnie o 2 godzinie“.

W oznaczonej godzinie stawia się pomocnik jubilera z paczką. Wchodzi do pokoju doktora, w którym oczekiwała go już owa pani, która kosztowności zamówiła. Odebrała paczkę i oddaliła się z słowami: „Bądź Pan tak dobry zaczekać tu chwileczkę. Szwagier mój znajduje się w ogrodzie“.

Pomocnik oddał paczkę z największą gotowością. Po pewnej chwili wszedł doktor w towarzystwie owej damy, hrabiny de Salle.

W dniu poprzednim przybyła ta sama hrabina do doktora i opowiadała mu, że wyszła za młodego i pięknego mężczyznę, który jednak cierpi na przywidzenia. Matce jego skradziono razu pewnego znaczniejszą ilość dyamantów. To sobie tak wziął do głowy, że nagle pewnej nocy wstał, otworzył okno i zaczął wołać na całe gardło:

„Tam są złodzieje, którzy mej biednej matce skradli dyamanty“. Podobnych napadów a co najmniej wzburzenia doznaje za każdą razą, gdy albo widzi dyamanty, albo mu też ktokolwiek wspomina o nich“.

Doktor zrobił dziwną jakąś minę, i widocznie rozmyślał nad rodzajem obłędu. Zobaczywszy w pokoju nieznajomego, przypominał sobie rozmowę z dnia poprzedniego i przyszła mu nagle myśl do głowy, że to nie jest nikt inny, jak mąż hrabiny. Pomocnik jubilerski, któremu się dłużyło czekać, począł rzeczywiście dopominać się o zapłatę za dyamenty. Teraz oczywiście lekarz był przekonany, że ma z maniakiem do czynienia. Zamienił spojrzenie z hrabiną i nakazał jej usunąć się, ażeby chorego nie wzburzać tem więcej. Mniemana żona oddaliła się natychmiast, ale pomocnik, czując coś niedobrego, rzucił się na nią, jak obłąkany, wołając: „Moje brylanty! Moje brylanty“. Pochwyciło go teraz trzech barczystych mężczyzn i powiązało jak barana. Nałożono mu nawet kaftan przymusowy; nieborak wrzeszczał, jak opętany. Nie było innej rady według zdania doktora jak uspokoić go porządną tuszą z zimnej wody. Wszystko jednak tak mało pomogło, że go musiano umieścić pomiędzy szaleńcami.

Jubiler tymczasem, zaniepokojony, że pomocnik tak długo nie wraca, sądził, że tenże albo z kosztownościami, albo z otrzymanymi pieniędzmi zemknął. Nakazał więc policyi robić poszukiwania. Wszystko było jednak nadaremne. Zrozpaczony chwycił się teraz ostatniej deski ratunku i po dziennikach opisał wypadek, przyrzekając wysokie wynagrodzenie temu, kto pomocnika wyśledzi.

Jedna z tych gazet dostała się przypadkiem do rąk doktora Manuela, któremu teraz nagle zdawać się poczęło, że ten, którego on trzyma za waryata u siebie będzie prawdopodobnie owym pomocnikiem. Przywołał pacyenta do siebie i przekonał się, że tenże rzeczywiście nie jest obłąkanym, i że obaj są ofiarami chytrze obmyślanego oszustwa.

Długo fałszywej hrabiny odnaleść nie było można; znacznie później dopiero wpadła policya na jej trop i przekonano się, że zuchwała oszustka była rzeczywiście wielką damą, której rodzina jubilera wynagrodziła, ażeby uniknąć publicznej hańby.

Drugi wypadek, który poniżej podajemy, jest jeszcze ciekawszy: „Pewna dama otrzymała zaproszenie na bal, który się odbywał w pałacu tuileryjskim za drugiego francuzkiego cesarstwa. Na balu zgubiła owa pani parę zausznic niecenionej wartości. Wieść o tem rozniosła się lotem błyskawicy po wszystkich salonach. Każdy twierdził, że w tym przypadku dopuszczono się złodziejstwa. Przy opuszczeniu balu znalazła jednę z zausznic w płaszczyku, druga jednak znikła. Znalezioną wręczyła prezydentowi policyi.

W następnym dniu zjawia się u prezydenta policyi jakiś przystojny mężczyzna, przedstawia się jako brat tej, której zausznica zniknęła, oświadcza prezydentowi, że wie o tem, iż cesarz kazał go prosić, ażeby za jaką bądź cenę zausznicę poszukał, ale on mu to pragnie ułatwić. Złodziej, — tak dalej opowiadał, — odesłał siostrze w kopercie zausznicę, którą ma przy sobie. Przychodzi zatem do prezydenta

po drugą, ażeby je siostrze wręczyć. Uradowany prezydent, że pozbył się kłopotu poszukiwań, wręczył mu ową zauszniczkę i żegna go z wdzięcznością. Dał sobie nieborak jednak nie chleba. Jeszcze w tym samym dniu pokazało się, że ów mniemany brat okradzionej hrabiny był owym rzeczywistym złodziejem, który w tak zuchwały sposób wywiódł prezydenta w pole i posiadał teraz obie zauszniczki.

Biedny prezydent byłby z powodu tej przygody o mało miejsce postradał.

Jaką rolę gra dziś papier
i z czego się wyrabia?

Wiek nasz możnaby pod pewnym względem nazwać papierowym: dość powiedzieć, że jedna Europa wyrabia i zużywa rocznie przeszło dwadzieścia milionów papieru; jestto ilość tak wielka, że możnaby nią jak białym dywanem pokryć całą niemal część świata, którą zamieszkujemy.

Papier w rzeczy samej jest dziś materyałem najbardziej uniwersalnym; służy tysiącznym potrzebom, przybiera kształt najrozmaitszy i nagina się z niesłychaną łatwością do najkapryśniejszych i najśmielszych pomysłów wynalazców. Dość przejść się po większej z wystaw papierowych, by zrozumieć praktyczne zastósowanie tego materyału. Nietylko osłaniamy nim ściany pokojów i pokrywamy dachy domów, zastępujemy skórę, wyrabiamy przedmioty dla chirurga, optyka, szewca, siodlarza, kapelusznika, parasolnika i fotografa, ale używamy go prócz tego na wyrób szyn kolejowych, mebli, beczek do nafty i tysiąca innych przedmiotów. W ostatnim czasie papier zaczyna nawet zastępować bieliznę; jako papka jest w ręku dziecka bawiącego się konikiem lub lalką, przyjdzie czas może, że mieszkać będziemy w kamienicach z samego papieru.

Wślad za tem rozpowszechnieniem papieru idzie niesłychane ułatwienie jego fabrykacyi. Porównajmy tylko ilość wyrabianą dawniej i dzisiaj. Kiedy poprzednio dwóch dzielnych robotników, pracując 12 godzin dziennie, mogło dostarczyć zaledwie 6,000 arkuszy, dziś z maszyny w przeciągu tego czasu wychodzi pas papieru szeroki na 1 i pół metra, który pokrajany daje przynajmniej 80,000 arkuszy: innemi słowy, maszyna pracuje pięćdziesiąt razy prędzej od ręki i w przeciągu jednego roku mogłaby wyrobić pas papieru, wystarczający na opasanie nim całej kuli ziemskiej. Dziś szmaty, z których dawniej prawie wyłącznie fabrykowano papier, zeszły na bardzo podrzędne stanowisko i wchodzą w nieznacznej ilości w skład jego. Najczęściej zastępuje je bawełna i nieznaczna ilość odpadków z przędzalni bawełnianych przechodzi wprost do papierni. W Anglii 7/10 papieru używanego do gazet wyrabia się z włokien bawełny.

W ostatnim czasie bawełnę zaczęto z powodzeniem zastępować włóknem drzewnem, które po oczyszczeniu i wydzieleniu z niego wszelkich niepotrzebnych substancyi, nadaje się doskonale na wyrób papieru. W Niemczech wszędzie, gdzie są lasy i siłę wody można mieć bez kosztu, istnieją szlifiernie drzewa.

Papier z drzewa? Na pozór brzmi to dziwnie, w gruncie jednak nic naturalniejszego. Bo czemże jest papier zwykły jak nie produktem z włókien pochodzenia organicznego, zamienionych w pilśń delikatną? Dlaczegóżby więc włókna drzewne nie dały się tak dobrze użyć jak włókna lnu lub bawełny, pokrewne im pochodzeniem i strukturą.

Włókna drzewne otrzymują się przez zestrugiwanie z drzewa na szybko obracającym się kamieniu szlifierskim włóknistych jego cząstek, do których dodaje się zwykle trochę szmat i wyrabia z nich doskonały papier. We Francyi szmaty zastępują trawę „esparto", rosnącą dziko w Algierze, Hiszpanii i Tunisie, lub odpadkami z fabryk juty.

Papier wychodzący z maszyny nie posiada jeszcze gładkości, pozwalającej pióru ślizgać się po nim jak po lodzie; ślizgość tę nadaje mu dopiero „satynowanie", które dokonywa się zwykle zapomocą ciężkich walców, przez które pas papierowy przechodzi. Jeżeli chcemy otrzymać papier kolorowy, dodaje się do papki odpowiednią farbę, jak ultramarynę lub błękit pruski. Znaki wodne, prążki, figury i t. p. wytłaczają się cylindrem z wypukłym rysunkiem, który przesuwa się po miękkiej masie. Po wyschnięciu papieru miejsca przytłoczone wychodzą przezroczyste.

Znaki wodne posiadają wielką ważność przy wyrobie papierów wartościowych i wymaga specyalnych przygotowań. Wyrabiany dziś papier na pieniądze nasyca się prócz tego kwasem solnym, dla nadania mu większej trwałości i zabezpiecza od sfałszowania przetkaniem jego masy włóknami roślinnemi. Jeżeli weźmiemy do rąk nowy banknot niemiecki, to dostrzeżemy po jednej jego stronie ciemno-niebieskie włókienka, które bardzo delikatnym scyzorykiem unieść się dadzą do góry. W ten sposób z łatwością można odróżnić wszelki papier fałszywy od dobrego, fałszerz bowiem może włókienka te odtworzyć tylko rysunkiem lub fotografią.

Dodajemy w końcu, że z 1,400 milionów ludzi na ziemi, 276 milionów nie pisze i nie używa papieru; z pozostałych zaś 1,124 milionów, 30 milionów pisze na liściach palmowych, skórach, łyku i tabliczkach drzewnych, 620 milionów na chińskim, a 350 na europejskim papierze.

Praktyczne rady.

— **Środek przeciw uduszeniu.** Wiadomo powszechnie, że podczas pożarów ogień dlatego głównie pochłania ofiary z ludzi, że dym otaczający je ze wszech stron dławi je i nie pozwala im uciec z pośród płomieni. — Otóż odkryto sposób zarówno prosty jak praktyczny uniknięcia uduszenia wśród ognia i ułatwienia sobie oddechu w miejscach napełnionych dymem. Nie trzeba nic więcej, tylko chustką dobrze zmoczoną przytkać nos i usta. Środek ten łatwy i przystępny dla wszystkich, iż warto rozpowszechnić go o ile możności.

— **Przygotowanie wyciągu mięsnego.** Kawałek mięsa świeżego kraje się w drobne kawałeczki, kładzie się je w ilość wody zimnej 8 razy większą na wagę od mięsa i gotuje się. Gdy zawrze, po kilku minutach trzeba zawartość naczynia przecedzić przez płótno i płyn ten, przez wstawienie w naczynie z gorącą wodą wyparować, aż stanie się gęsty jak miód. Dwa funty mięsa dają 1 uncyą wyciągu. Tłuszcz trzeba starannie oddzielić, gdyż wyciąg nie konserwowałby się długo.

— **Pozbyć się czkawki.** Na to dość palcem jednej ręki przycisnąć silnie puls ręki drugiej i powstrzymać na chwilę oddychanie. Czkawka natychmiast ustaje, jeżeli puls naciśnie ręka jakiej innej osoby, która może w czasie tej operacyi oddychać i rozmawiać. Czkawka jest skutkiem ściskania konwulsyjnego w żołądku, często trwa długo, męczy a zawsze sprawia nieestetyczne wrażenie na obecnych.

Rozmaitości.

* **Góra grająca.** Według legendy egipskiej, sfinks (sfinks tyle co zagadkowe stworzenie) Memnona, wznoszący się w pośrodku niezmiernej płaszczyzny piasczystej, wydawał co rano o wschodzie słońca śpiew słodki, którym witał gwiazdę dzienną. Rzeczywiście około tej płaszczyzny słychać było co rano dźwięki harmonijne, które egipcyanie przypisywali sfinksowi. Nauka objaśniła niebawem tę tajemnicę i zdarła urok poetyczny z legendy: szelest ten wydawało poprostu tarcie się o siebie grudek piasku poruszanego wiatrem. W Kanadzie naprzykład znajduje się góra piasku napiętrzona wiatrem, którą wicher porusza z miejsca, przenosząc ją przez doliny i wąwozy. I ta góra wydaje dźwięki muzyczne, pochodzące z tej samej przyczyny, co dźwięki na płaszczyźnie egipskiej. Wierzchołek góry podobny jest do krateru, w którym wiatr nieustannie wiruje; piasek w kraterze jest bardzo grząski i ktoby się tam ośmielił spuścić, przepadłby jak w ruchomych piaskach góry św. Michała. Nie odnaleziono nigdy ciał śmiałków tam pogrzebanych.

* **Pożar rzeki.** Ciekawe to zjawisko zdarzyło się niedawno w Szkocyi. Rybak łowiący ryby na wędkę, zapalając fajkę rzucił zapałkę do wody. Natychmiast rzeka zajęła się płomieniem i powierzchnia jej płonęła trzydzieści sześć godzin. Pożar ten przypisują gazom z warstw mineralnych, położonych pod poziomem rzeki, wydobywających się szczelinami na powierzchnię wody. Zjawisko to wydarza się nie po raz pierwszy; w niedawnej mamy pamięci pożar kanału św. Marcina w 1871 roku, skutkiem nafty rozlanej na powierzchnię wody.

* **Piękny zwyczaj.** W niektórych okolicach południowej Hiszpanii istnieje piękny zwyczaj. Jeżeli który z mieszkańców wioski zachoruje i nie może uprawiać swego pola, wówczas w Niedzielę po ukończonem nabożeństwie ksiądz wchodzi na kazalnicę i mówi: Bracia! wiecie, że wasz sąsiad jest chory, jego dobytek marnieje a rola nie obrabiana. Ale wy nie zapomnieliście obyczajów naszych przodków i przypominać wam ich nie potrzeba. Ja zwalniam was od święcenia dnia dzisiajszego i upominam was, abyście pomogli choremu sąsiadowi. Po tych słowach kapłan błogosławi lud i wszyscy odchodzą do swych domów, zdejmują świąteczne szaty, a ubierają się w codzienne i wszyscy razem, mężczyzni i kobiety, chłopcy i dziewczęta, starcy i dzieci w wesołem towarzystwie idą na rolę sąsiada, gdzie wedle potrzeby orzą, sieją lub koszą, śmiejąc się i rozmawiając wesoło — i tak w dwóch lub trzech godzinach zrobią to, co jeden człowiek musiałby robić przez cały dzień lub dłużej.

* **Mięso końskie.** Konsumcya mięsa końskiego we Francyi w ciągu ostatnich lat dwudziestu pięciu wrasta bezustannie i szybko, jak się to okazuje z pracy pana Decroix, zamieszczonej w »Przeglądzie nauk przyrodniczych zastósowanych«; gdy bowiem w roku 1867 liczba spożytego mięsa końskiego wynosiła ledwie 400,620 kilogramów z 2,069 koni, doszła ona obecnie do 3,940,000 kilogramów z 17,256 koni, oraz 8971 osłów i 667 mułów. Przyrost dokonywał się statecznie, szczególny tylko podskok przypada na drugie półrocze 1870 i pierwsze 1871, czyli na okres oblężenia Paryża i komuny, w ciągu bowiem obu tych półroczy konsumcya wynosiła 12,261,100 kg. z 64,362 koni, 635 osłów i 3 mułów. W Paryżu hipofogia rozpostarła się po departamentach, tak że obecnie jatki końskie znajdują się we wszystkich większych miastach, a w samym departemencie Sekwany jest ich obecnie 132. Mięsa koni zbyt starych, zbyt wycieńczonych lub padłych skutkiem choroby nie używa się wcale. Cena mięsa końskiego wynosi połowę od mięsa wołowego, 1 frank 25 centymów za pół kg. polędwicy, 20 do 80 centymów za pół kg. części pośledniejszych. Według tegoż autora jest ono pożywniejsze aniżeli wołowe, 4 kg. bowiem koniny przedstawiają wartość 5 kg. wołowiny.

* **Ameryka** budować będzie teraz most, który ma być najwspanialszym pomnikiem sztuki budowlanej. Most ten będzie

miał olbrzymie rozmiary a przytem i olbrzymie znaczenie, ponieważ kto chciał z Nowego Jorku dostać się głębiej do Ameryki, musiał przejeżdżać przez rzekę i opłacać się. Teraz 80 milionów osób przecięciowo zamiast przez rzekę będzie mogło bezpłatnie przez most przechodzić.

* **Wiek nasz** słusznie nosi nazwę wieku wynalazków. Zdumienie ogarnia człowieka, gdy się czyta, słyszy i widzi, co za za ulepszenia, co za wynalazki na każdym kroku na jaw się wydobywają, z których niejedne przeobrażają wprost cały porządek spółeczny i ekonomiczny. Obecnie jakiś pomysłowiec skonstruował rodzaj trzewika do pływania, który nadzwyczaj ułatwia pływanie. Ten sam wynalazca skonstruował dalej rodzaj pasa, którym biodra opasawszy, można na wodzie dowolnie się poruszać. Za pomocą tych dwóch przedmiotów można się łatwo nauczyć pływania.

* **Dotąd wiedziano i wierzono**, że miejsce rzeczywistego oka zastąpić może jedynie oko emaliowane, czyli oko z szkła przetopionego. Tymczasem pewien lekarz francuski wpadł na myśl, ażeby oko szklanne zastąpić okiem królika u pewnej dziewczyny, która znajdowała się w jego klinice. Oko królika bowiem, to wierne zwierciadło oka kobiety młodej. Bije z niego słodycz oka dziewiczego, tak, że gdyby operacya się powiodła, niktby nie dostrzegł różnicy oczu. I rzeczywiście! Powiodło się lekarzowi świetnie, dziewczynka ma nietylko dwoje ócz, ale obojgiem widzi. Oko zrosło się z organizmem i widziało. Widzenie to, jakkolwiek nieobjaśnione, jest możliwem. Nerw bowiem nie traci czułości, jeżeli na kanaliku jego zaszczepimy odcinek nerwu innego zwierzęcia.

ŻARTY.

Dobra rekomendacya.

Przy ugodzie ze służącym, którego czerwony nos wykazuje zdolności nie zawodne pod pewnymi względami.

Pan: Mam w piwnicy kilka gatunków dobrego wina.

— O, proszę pana, za to właśnie wyleciałem z poprzedniej służby.

W sądzie.

Sędzia: Ile pani masz lat?

Oskarzona: Zdaje się co do tego na łaskę wysokiego sądu.

W imię obowiązku.

Pani Tomaszowa, żona majstra stolarskiego, miała ten chwalebny zwyczaj, iż nie położyła się spać, nie popróbowawszy siły swych muskularnych pięści na grzbiecie swego małżonka.

Pewnego razu przytrafiło się, że pan majster sprawił jakąś miłą niespodziankę żonie, przez co uniknął zwykłej operacyi.

Gdy się przezacna matrona kładła do łóżka, czteroletni jej synek zapytał:

— Mama już idzie spać?

— A tak!

— A mama zapomniała tatę wybić?

Biedaczyna przepłacił dobrze chęć przypomnienia.

Nowoczesna służba.

— No zostaniesz?

— A ile dzieci u państwa?

— Czworo.

— Na tyle dzieci zgodzić się nie mogę, — ja zostanę, jeżeli pani dwoje da z domu.

— Stryjaszku, ja się chcę ożenić!

— W takim razie dam ci dobrą radę.

— A jaką?

— Nie żeń się.

— Bardzo proszę pana komisarza, żeby to można nie pisać w paszporcie, co ja jestem jednooka?

— Ależ kobieto w żaden sposób nie można. Najwyżej można napisać: „Oczy czarne, jedno nieobecne.“

Nakładem i czcionkami Wydawnictwa „Katolika“ w Bytomiu.